

EUROPA CHRISTI

NR 40 • dodatek Fundacji „Myśląc Ojczyzna” • 25 kwietnia 2021

www.myslajocjczyzna.pl, myslajocjczyzna@gmail.com

NIECH SIĘ ZBIERZE TWÓJ KOŚCIÓŁ Z KRAŃCÓW ZIEMI

KS. IRENEUSZ SKUBIŚ

Niebo przestałoby być niebem, gdyby znalazł się w nim diabeł. Stałoby się piekłem właśnie z powodu zamieszkania tam szatana – księcia ciemności. Ewangelia mówi o kuszeniu Chrystusa. To diabeł-kusiciel przystąpił do Bożego Syna, żeby Go doświadczać. Skończyło się na ważnym przekazie Jezusa: „Idź precz, szatanie!” (Mt 4, 10).

Zauważamy jednak, że na świecie żyje bardzo wielu złych osób. Są to ludzie nienawiści. Nie mają poczucia dobra, ich serca napełnione są chęcią dokonywania rzeczy, które zawierają w sobie ohydę spustoszenia. To zniszczenie odczytujemy w przestrzeni moralnej nie tylko poszczególnych jednostek, ale także krajów i narodów.

Trzeba przy tym zauważyć, że spustoszenie zaczyna się od wnętrza człowieka – mówi o tym sam Chrystus. To w tym wnętrzu rodzą się złe czyny, złe myśli, pożądanie, cudzołóstwo – wszystko to, co go niszczy. Sprawy zewnętrzne jakby tylko przechodzą przez człowieka.

Zło rodzi się w sercu, to niezbita prawda. Najgorsze rzeczy wymyślili filozofowie przy swoich biurkach. To właśnie diabelskie pomysły złych ludzi doprowadziły do wojen i wielkich tragedii, np. filozofia Karola Marksa dała podbudowę dla systemu komunistycznego oraz dla ateizmu, co zaowocowało bestialstwem rewolucji bolszewickiej, a następnie wojennymi zbrodniami i gułagami, gdzie zginęły miliony skazańców. Bezbożny system mający swoje źródło w filozofii marksistowskiej mutuje się i odradza, najpierw w myśli i w teorii, czego przykładem jest gender. Podkład filozoficzny sprawia, że ludzie przyjmują proponowane treści i w pewien sposób je akceptują. Po takiej wstępnej akceptacji intelektualnej od razu następuje ciąg dalszy. Pojawiają się działania, które mają już wymiar systemowy. Ich inicjatorzy sprytnie budują jakieś zręby organizacyjne. Następuje przełożenie na praktyczne posunięcia, które

są wspierane przez media, docierając do bardzo wielu ludzi.

Należy przypomnieć, że właśnie marksiści w latach 60. XX wieku postanowili dokonać takiego skoku, wykorzystując instytucje. Tak doszło – zgodnie z ateistyczną wizją filozofii marksistowskiej – do wykluczenia z przestrzeni publicznej religii chrześcijańskiej.

W ostatnich czasach doszło, niestety, do wykluczenia z przestrzeni publicznej, politycznej i kulturalnej zarówno religii chrześcijańskiej, jak i samego Chrystusa. Może powiedzenie, że udało się tego dokonać całkowicie, będzie zbyt na wyrost, ale takie usiłowania można na pewno wyraźnie zauważyć. Udało się to zrobić w niektórych społeczeństwach Zachodu. Taki sposób życia nazywamy konsumpcjonizmem. W Polsce ten styl życia kiedyś łączyło się z hasłem: „Róbta, co chceta”. Usługowe media bardzo sprzyjają takiemu systemowi wychowania. Od ludzi przestaje się wymagać. Często można usłyszeć, że „nie wypada”. Najważniejsza jest wolność, ale rozumiana jako rozluźnienie. Ten sposób wychowania przejmują również rodziny chrześcijańskie. Te rodziny, czasem bardzo zacne, wychowują egoistów, ludzi wygodnych, do niczego ich nie zobowiązując. Ileż to dzieci katolickich rodziców zrywa więzy z Kościołem, a nawet staje się zażartymi ateistami! To konsumpcyjne wychowanie jest przyczyną odejścia od Boga i Kościoła. Nie na darmo św. Jan Paweł II wołał: „Musicie od siebie wymagać, nawet wtedy, gdy inni od was nie wymagają!”. Niestety, główny nurt życia wiedzie ku nijakości, która charakteryzuje się brakiem refleksji, gonitwą za życiem przyjemnym i łatwym, bez wymagań, przede wszystkim tych moralnych, na których straży stoi Dekalog. Wzrastająca liczba rozwodów, alkohol i narkotyki rozsadzają życie chrześcijańskiego narodu. Obojętność na niszczenie jego żywej tkanki moralnej daje się szczególnie zauważyć w przekazie medialnym, zwłaszcza w internecie.

U wielu ludzi nie można dostrzec świadomości grzechu ani zobowiązań moralnych. To nas bardzo martwi i niepokoi, dlatego szukamy pomocy i jakiegoś mocnego odniesienia. Przez wieki takim odniesieniem był Kościół, ale siły zła sprysnęły się przeciw Kościołowi i ludziom Kościoła w sposób precyzyjny, wykazując ich grzech. Wprawdzie były to nieliczne przypadki, ale media doprowadziły do nieuczciwego zniesławienia całego Kościoła. Autorytet Kościoła został bardzo zniszczony. Można powiedzieć, że przez to człowiek zostaje samotny i pozostawiony sam sobie. To samo dotyczy życia społecznego.

Na końcu chciałbym jednak przynieść iskrę nadziei. W Polsce mamy wielu charyzmatycznych kapłanów, zakonników i ludzi świeckich. Przecież każdego roku tysiące ludzi odprawia ćwiczenia duchowne, codziennie odmawia Różaniec, Koronkę do Bożego Miłosierdzia. Mamy gorliwych czytelników ksiązek religijnych. Z radością musimy stwierdzić, że w Polsce dzieje się bardzo dużo dobra. To ogromnie bogaty świat ludzi modlitwy i kontemplacji. To oni wielbią Boga we dnie i w nocy. Dzięki wspaniałym kapłanom, którzy sprawują sakramenty, odprawiają Msze św., dają dobry przykład życia ewangelicznego, niebo otwiera się nad polską ziemią. Przypomina się starożytna modlitwa Didache, która mówi: „Niech się zbierze Twój Kościół z krańców ziemi”. To właśnie Eucharystia jednoczy wierzących w Chrystusa podobnie jak pierwotnych chrześcijan, o których mówią Dzieje Apostolskie. Ta wiara w Chrystusa Zmartwychwstałego ożywia naszą nadzieję i jest powodem akceptacji życia w jego zwyczajności. To sprawia, że czujemy się zjednoczeni w naszych rodzinach, a także we wszystkich formach życia społecznego, takich jak szkoły, urzędy, zakłady pracy. Najważniejszy jest życzliwy stosunek do drugiego człowieka. To właśnie o tym układzie decydują dwa słowa płynące z Ewangelii: „Będziesz miłował!” ■

PRZESŁANIE PRYMASA WYSZYŃSKIEGO DO STUDENTÓW

DR HAB. KRZYSZTOF NARECKI

Znajomość dziedzictwa naszych korzeni daje nam moc i siłę, których tak bardzo teraz potrzebujemy, zmagając się z trudną rzeczywistością, w której przyszło nam żyć. Dlatego, pamiętając o wyświadczonych nam dobrodziejstwach i okazując za nie wdzięczność, sięgamy w tym roku do dziedzictwa myśli kard. Stefana Wyszyńskiego. W rzeczywistości powojennej, kiedy władze PRL dążyły do likwidacji jedynej katolickiej uczelni w Polsce, kardynał stawał w jej obronie. Niezwykle ważne były jego wystąpienia podczas uroczystości uniwersyteckich, w których wzywał studentów do obrony kultury narodowej, do zdobywania i pogłębiania wiedzy, do zaangażowania w życie społeczne i do intensywnej pracy nad sobą. O wielkim oddaniu kardynała dla młodych ludzi świadczą formuły powitalne, którymi zwracał się do nich: „Drogi Dzieci”, „Dzieci Boże!”, „Najmilsze Dzieci!”, „Droga Młodzieży Akademicka!”, „Umiłowana Młodzieży!”, „Moi Najmłodsi Koleżanki i Koledzy!”, „Najmilsi Moi Przyjaciele!”. W zwrotach tych, a zwłaszcza w użytych przydawkach: „drogi, miły, umiłowany, Boży, mój”, niczym w zwierciadle, odbija się świadectwo niezwykłego oddania, ojcowska miłość, zatroskanie o los młodzieży. Prymas zwraca się do studentów jak ojciec, przyjaciel czy starszy kolega, manifestując w ten sposób różne rodzaje relacji łączących go z młodymi ludźmi, którzy mają w życiu różne pragnienia i cele, tak duchowe, jak i doczesne, w tym ten najważniejszy, tj. poszukiwanie prawdy. Tak mówił o nim kardynał podczas uroczystości 50-lecia KUL: „Po tym dziedzincu, po tych korytarzach i salach musi przechadzać się pod ramię prawda zaślubiona z miłością. Musi być widoczna na wargach, uśmiechniętych policzkach i w ufnych spojrzeniach młodzieży, która jak świeży kwiat rozchyła się na działanie błogosławionych pyłków prawdy, zrodzonych z miłości. Tylko owoc rodzący się z prawdy zaślubionej z miłością jest pożywny”.

W myśli prymasa, jako pierwszy stawiany przed studentami cel, zawsze stała wiedza prowadząca do prawdy. Nigdy nie ukrywał, że aby go osiągnąć, potrzeba wytrwałej pracy, determinacji i odwagi patrzenia

w przyszłość, o czym mówił wprost: „Apeluję więc do Was: uczcie się służyć i patrzeć odważnie w przyszłość”. Nie mniej ważne jest przekonanie o właściwym wyborze takiej drogi, która zawsze powinna prowadzić do celu, mimo zmienności charakterów i typowej dla młodych niestabilności uczuciowej. Doskonale rozumiał to prymas, który tak diagnozował tę sytuację: „Nieraz niepokoiły się zmiennością usposobień i nastrojów naszej młodzieży. Są to chwilowe doznania, które nie dają satysfakcji i dlatego szybko się zmieniają. Podobnie jest ze współczesną modą, która jest wyrazem jakiegoś chwilowego osiągnięcia, ale zmienia się szybko. Gdy następuje zmiana, przekonujemy się, że nie o to szło i nie to było osiągnięciem. Niech Was to, Najmilsi, zawsze zachęca do *duc in altum*” (wyptyń na głębie). Kardynał Wyszyński apelował więc do serc młodych ludzi, dostrzegając w nich głęboko ukryty, intelektualny i duchowy potencjał, pozwalający zdobyć najwyższy cel – prawdę przez wiedzę. Z podobną zachętą wystąpił on w kolejnym apelu: „I Ty, Droga Młodzieży, idąca w przyszłość, kształtuj swój charakter i zdobywaj wiedzę tak, aby Ci to przychodziło bardzo trudno, bo w trudnościach pogłębiać będziesz swoje przygotowanie do życia”. Zdobyta w trudzie i w miłości do nauki wiedza nie tylko prowadzi do prawdy, ale ma także służyć narodowi i ojczyźnie, być dla nich „pożywnym owocem” i realizować ideę solidarności. Celem kształcenia nie jest tylko zdobycie dyplomu. Jak mówił prymas: „*Universitas Catholica* – ma nie tyle kształtować zawodowca, ile człowieka”, wyposażonego przez Stwórcę w liczne dary, „zakotwiczone gdzieś w głębi osobowości”, które niczym ukryte talenty trzeba umiejętnie odkrywać i dalej nad nimi pracować, wykazując się pracowitością i systematycznością. W edukacji młodych szczególne znaczenie mają studia humanistyczne, o czym kard. Wyszyński proroczo mówił w kontekście zagrożenia technicyzacją życia: „człowiek zostaje niekiedy niewolnikiem maszyny”, podczas gdy to „maszyna dla człowieka, a nie człowiek dla maszyny”.

Prymasowi bardzo leżała na sercu formacja moralna studentów. Często wypowiadał się o słabościach, jakim młody człowiek

może ulegać w czasie studiów, zmagając się z samym sobą. Dlatego z troską wołał do przyszłej polskiej inteligencji o poszanowanie dobra wspólnego, o reformę obyczajów, o walkę z wadami narodowymi (jak pijaństwo), zachęcając studentów, „światło i sól” tej ziemi, do korzystania z duszpaństwa akademickiego, do stawiania się świeckimi apostołami, by tworzyć „nowych ludzi plemię”, które wniesie nową jakość w życie całego narodu, stając się życiodajnym ogniem: „Potrzeba dzisiaj naszej ojczyźnie jakichś nowych «filomatów», «filaretów», potrzeba młodzieży «płonącej», gorejącej umysłem i sercem!”. Młody człowiek winien mieć „własny program maksymalny” i wyznaczony cel, do którego trzeba „iść powoli, jak na szczyt górski, który już widzi się z daleka, ale osiąga się długą i żmudną wspinaczką”. Do zdobycia solidnej formacji intelektualnej potrzeba, obok umysłu, serca, wytrwałej pracy, a także dobrych przewodników: profesorów, którzy rozeznają nie tylko intelektualne potrzeby młodych, ale będą dla nich moralnym drogowskazem, o co kardynał tak apelował: „Umiłowani Profesorowie! Przekazujcie wasze doświadczenie – *in caritate*. A Ty, Droga Młodzieży, poszukuj prawdy również *in caritate*”.

Przesłanie kard. Wyszyńskiego jest oryginalną pedagogią, pełną serca, dobroci, życzliwości i wiary w drugiego człowieka. Wyraża postawę zatroskanego i wymagającego ojca, któremu bardzo zależy, aby „nowych ludzi plemię” zdobyło nie tylko rzetelne wykształcenie, ale również mądrość życiową i silny kręgosłup moralny, by z pożytkiem służyć bliźniemu i ojczyźnie, by przekazywać innym swą mądrość, jak też uczyć ich rzetelnego życia i trwałych wartości. Prymas przedstawia w swoim nauczaniu spójną, holistyczną wizję młodego człowieka – studenta, która obejmuje i jego edukację, i wychowanie jako integralne harmonijne połączenie natury, przymiotów ducha i ciała, z wartościami nadprzyrodzonymi, z doskonaleniem siebie samego ze względu na Tego, który dla młodych i dla całej ludzkości zawsze winien być Drogą, Prawdą i Życiem, bo tylko Bóg jest Panem prawdy – *Deus, scientiae Dominus!* ■

ODPOWIEDZIALNOŚĆ POLITYKA – IDEAŁ A RZECZYWISTOŚĆ

PROF. DR HAB. DARIUSZ DUDEK

Historyczne i dzisiejsze doświadczenie różnych państw poucza, że realne funkcjonowanie władzy politycznej często rozmija się z „idealnymi” zasadami ustrojowymi zapisanymi w konstytucjach. W epoce ks. Stefana Wyszyńskiego, biskupa lubelskiego (1946-49) i prymasa Polski (1949-81), ta rozbieżność była gigantyczna. W czasach totalitarnej władzy komunistycznej w powojennej Polsce i potem „socjalizmu z ludzką twarzą”, ale ciągle z ideologią ateizmu, walką z Kościołem i opozycją, odpowiedzialność polityków pozostawała jedynie w sferze marzeń. Natomiast władza często pociągała do „odpowiedzialności” w sfingowanych procesach sądowych i więziła swych oponentów, np. rektora KUL, ks. A. Słomkowskiego (1952-54) czy prymasa Wyszyńskiego (1953-56). Stosunek władzy do Kościoła i jego pasterzy był czułym barometrem stopnia represyjności i nieodpowiedzialności ówczesnej władzy politycznej.

Chociaż w Polsce następowały fazy „przymrozków” i „odwilży”, jednak nie przynosiły one realnych zmian w odpowiedzialności władzy, a chwilowe przeobrażenia (np. Październik 1956 r.) były tylko efektem rozgrywek w partii, pod dyktando Moskwy. Sierpień 1980 r. i powstanie „Solidarności” przyniosły nową jakość w myśleniu o odpowiedzialności władzy, ale tę pokojową rewolucję władza brutalnie stłumiła w stanie wojennym (1981-83). Prymas Wyszyński nie dożył już czasów, gdy mimo pozornej „normalizacji” nadal dochodziło do represji, a nawet morderstw popełnianych przez funkcjonariuszy systemu, m.in. ks. J. Popiełuszki (1984 r.). Odpowiedzialność karna za tę zbrodnię spotkała jednak tylko jej bezpośrednich wykonawców, a nie politycznych zleceńodawców.

1989 r. zapoczątkował przeobrażenia ustrojowe, a Trzecia Rzeczpospolita stanowi, według Konstytucji z 1997 r., demokratyczne państwo prawa i dobro wspólne wszystkich obywateli. Polityka rozumiana nie jako gra o władzę, ale w ujęciu aksjologicznym, katolickiej nauki społecznej, to właśnie rozumna troska o dobro wspólne.

W tym sensie „politykiem” jest każda osoba w strukturach władzy publicznej, nawet związana prawnym nakazem apolityczności, co dotyczy m.in. wszystkich sądów i korpusu służby cywilnej, ale nie parlamentu i rządu.

Należąca do istoty prawa odpowiedzialność, czyli konieczność ponoszenia konsekwencji swojego postępowania, wynika nie tylko z nakazu prawnego, ale też z głosu sumienia. Niestety, metodycznie prowadzona w Polsce Ludowej demoralizacja wykluczała czyste podejście do władzy publicznej, a „gruba kreska” z 1989 r. gwarantowała prawną nieodpowiedzialność poprzednich ekip, których polityczni spadkobiercy mieli w parlamencie decydujący wpływ na uchwalenie nowej konstytucji. Konstytucja z 1997 r. rzadko więc odwołuje się do ideału odpowiedzialności prawnej funkcjonariuszy władzy i nie ustanawia jej efektywnych narzędzi. Trybunał Stanu jest bezrobotny, a za błędy władzy odpowiada finansowo Skarb Państwa, czyli my wszyscy, obywatele. Skutecznych narzędzi egzekwowania odpowiedzialności władzy nie znają jednak również konstytucje innych państw czy prawo UE. Utrata zaufania wyborców i szans na reelekcję to najczęściej jedyna „kara” dla nieodpowiedzialnego polityka. Może zatem za nietrafne wybory i ich skutki odpowiedzialni są sami wyborcy, zaś sedno problemu odpowiedzialności leży w człowieku, a nie w instytucjach i przepisach prawnych?

W kwestii odpowiedzialności polityków prymas Wyszyński zwracał uwagę na psychologiczny aspekt władzy: „Człowiek dopiero wtedy jest w pełni szczęśliwy, gdy może służyć, a nie wtedy, gdy musi władać. Władza imponuje tylko małym ludziom, którzy jej pragną, by nadrobić w ten sposób swoją małość. Człowiek naprawdę wielki, nawet gdy włada, jest służebnikiem”.

W epoce pozornych wyborów i braku identyfikacji obywateli Polski Ludowej z jej władzą, apelował: „Každy musi zacząć od siebie, abyśmy się prawdziwie odmiennili. A wtedy, gdy wszyscy będziemy się odradzać i politycy będą musieli się odmienić, czy będą chcieli, czy nie”. W 1979 r. wzywał:

„Bądźcie odpowiedzialni za ład społeczny i moralny, ład myśli i uczuć, odpowiedzialni za przyjęte na siebie obowiązki, za miejsce, jakie zajmujecie w ojczyźnie, w narodzie, w państwie, w życiu zawodowym. Tą drogą idzie się do wielkości. A narodowi potrzeba wielkości”.

Ideał władzy przedstawiał zaś tak: „Władza musi się odwoływać do sumienia, a nie do siły. Wynika z tego ograniczenie siły porządkującej świat przez prawo naturalne osoby ludzkiej i przez to, że władza jest ustanowiona nie tylko dla dobra jednostki lub jakiejś frakcji czy partii, lecz dla dobra powszechnego – dla wspólnego dobra obywateli”.

Ponadczasowa, również w warunkach integracji europejskiej, jest kolejna przestroga Prymasa Tysiąclecia: „Jakże wielka jest więc odpowiedzialność za nasze miejsce tutaj i za wypełnienie wszystkich obowiązków, które ciążyą dziś na Narodzie polskim. Abyśmy jednak mogli wypełniać swoje zadania, niezbędna jest suwerenność narodowa, moralna, społeczna, kulturalna i ekonomiczna! Każdy Naród pracuje przede wszystkim dla siebie, dla swoich dzieci, dla swoich rodzin, pracuje dla swoich obywateli i dla własnej kultury społecznej. A chociaż dzisiaj tak jest, że pełnej suwerenności między narodami powiazanymi różnymi układami i blokami nie ma, to jednak są granice dla tych układów, granice odpowiedzialności za własny Naród, za jego prawa, a więc i za prawo do suwerenności”. Zaiste, prorocze są też słowa jednej z jego ostatnich homilii: „Łatwiej zmienić ustrój, trudniej odmienić człowieka. Od siebie trzeba wymagać najwięcej. Nie trzeba oglądać się na innych, na tych lub owych, może na polityków, żądając od nich, aby się odmiennili. Každy musi zacząć od siebie, abyśmy prawdziwie się odmiennili” (2.02.1981).

Konfrontując prawno-etyczny ideał z realnym obrazem odpowiedzialności polityków Trzeciej Rzeczypospolitej, niezależnie od zmieniających się układów władza-opozycja, aktualność przesłania prymasa Wyszyńskiego nie ulega żadnej wątpliwości. ■

PRZESŁANIE PRYMASA WYSZYŃSKIEGO DO OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH

PAWEŁ ROBAK

S poglądając dzisiaj na postać kard. Stefana Wyszyńskiego, wielu z nas widzi w nim człowieka wielkiego. Człowieka, który za każdym razem głosił prawdę i był prawdą, głosił Boga i z Bogiem szedł przez życie. Był przy tym osobą niezwykle oddaną i wierną. Także osobom słabym, chorym i niepełnosprawnym. Według encyklopedii PWN „niepełnosprawność” to ograniczenie lub brak zdolności do wykonywania czynności, w sposób lub w zakresie uważanym za normalny dla człowieka, wynikające z uszkodzenia i upośledzenia funkcji organizmu. Prymas Wyszyński w swoim nauczaniu przedstawiał jednak zupełnie inny obraz niepełnosprawności.

W osobach niepełnosprawnych widział bowiem wielkie bogactwo, widział w nich ogromną potrzebę i nadzieję. Całe życie Stefana Wyszyńskiego przepełnione było troską o drugiego człowieka. W każdym dostrzegał cząstkę Boga. W swoich przemówieniach zwracał się wielokrotnie do osób niewidomych, chorych i cierpiących, czułymi słowami: „Najmilsze dzieci!”.

Wzywał także niewidomych i mówił: „Jesteście społeczeństwu potrzebni – chciejcie w to uwierzyć”. Szczególne miejsce w jego życiu miały właśnie takie osoby. Zwracał on szczególną uwagę na to, że niewidomi są równą wartością dla społeczeństwa tak samo, jak i widzący. „Wśród wielu łask, których doznałem od Boga w moim życiu, za jedną z największych poczytuję sobie tę, że od wielu lat mogłem służyć ociemniałym. Mogłem ich uczyć, z nimi obcować, w miarę słabych sił pomagać im, miałem łaskę zostać ich przyjacielem”. Te słowa pokazują, jak wielką miłością kardynał darzył drugiego człowieka. Były jednak wśród niepełnosprawnych i chwile trudne, chwile zawahania: „Uważałem to prawdziwie za wielką dobroć Boga, że mogłem patrzeć na wielu z Was, na Wasz trud, na Wasze cierpienie, które znosicie ze spokojem, ufnością i wiarą, że mogłem Was uczyć”. Niewidomi są równą wartością dla społeczeństwa właśnie dlatego, że tyłu ludzi, patrząc na nich, nabiera szacunku dla daru Bożego i podziwu. Podziwu dla ich determinacji, przełamywania przeciwności,

słabości oraz wszelkich trudności w dochodzeniu do nauki, wiedzy, mądrości i służby swojemu otoczeniu. Jest to wzór i przykład dla wszystkich widzących.

Dla kard. Stefana Wyszyńskiego niepełnosprawność była na równi z wiarą, nadzieją i miłością. Można powiedzieć, że w jego oczach człowiek niepełnosprawny był odzwierciedleniem właśnie trzech cnót boskich. Dla Wyszyńskiego nie było nic piękniejszego niż takie spojrzenie na osoby niepełnosprawne. W chwilach zwątpienia był dla nich ostoją. „Mimo iż świat jest dziwnie czarny, dziwnie ciemny, Wy macie przy sobie kaganek wiary. Posługując się nim, umiecie rozeznaczyć życie, jego sens, wartość i znaczenie. Co więcej, umiecie być użyteczni, jak tego dowodzi tyłu niewidomych pracujących dla społeczeństwa”.

Prymas Wyszyński apelował o podjęcie wysiłku i udzielanie pomocy niepełnosprawnym. W trudnych momentach życia, gdy wydaje nam się, że wszystko już się skończyło, kardynał ukazuje jak wykorzystać te chwile na budowanie lepszej, nowszej, choć nie zawsze łatwiejszej, drogi. Stefan Wyszyński ze wszystkich ziemskich wartości za wartość najtrwalszą i największą uważał człowieka. Widział w ludziach swoich bliźnich, bez względu na przynależność religijną i kondycję fizyczną. Niepełnosprawność drugiej osoby nie była żadną przeszkodą, aby uznać w niej doskonałość ludzkiej natury.

Mimo ciągłego zachęcania do walki z przeciwnościami życia i samym sobą, kard. Wyszyński zwracał uwagę, że nieodzownym elementem jest także cierpienie, szczególnie te pojawiające się w życiu osób niepełnosprawnych. Nie ograniczał się przy tym do osób niepełnosprawnych fizycznie, lecz także i psychicznie. Według niego, prawdziwą ulgę w cierpieniu daje powiązanie go z cierpieniem Chrystusa. Zauważał, że ból, którego doświadcza osoba niepełnosprawna, ma swoje ogromne znaczenie w kontekście całego życia. Pokrzepiał często słowami: „nabierzcie odwagi, jesteście wybrańcami (...) królestwa nadziei, szczęścia i życia”. Przemawiając

do osób niepełnosprawnych, zaznaczał wielokrotnie, jak wielką rolę w życiu każdego człowieka, szczególnie obciążonego niepełnosprawnością, odgrywa rodzina. Powinna być ona podporą i wsparciem. Źródłem, z którego bierzemy życie, pierwotną szkołą, uczącą nas myśleć oraz pierwotną świątynią, w której uczymy się modlić. Według Wyszyńskiego, błogosławieństwem dla rodziny może być niepełnosprawność osoby, mimo że tak często powiązana jest z trudami i przeciwnościami. Prowadzi ona jednak do głębszego poznania istoty życia, docenienia go oraz zjednoczenia się na drodze z Chrystusem. Warto docenić wszystkich tych, którzy w rodzinach poświęcili się wychowaniu dzieci niepełnosprawnych. Nie boją się oni dyskomfortu, przeciwności, trudów z tym związanych czy też wytykania palcami. Takie osoby należy szczególnie podziwiać. Podziwiać za codzienne troski, za nadzwyczajną opiekę i nieskończoną miłość.

Nauczanie kard. Wyszyńskiego to ciągle ukazywanie i zestawianie ze sobą różnorodnych pojęć. Miłość – nienawiść, radość – cierpienie, rodzina – samotność, życie – śmierć. Najbardziej jednak światu potrzeba miłości. Miłość płynąca od osób niepełnosprawnych w ogromnym stopniu wpływa na nasze życie. Ukazuje siłę, która płynie z miłości i trwającej relacji między osobą niepełnosprawną a drugim człowiekiem. Niepełnosprawność w nauczaniu Wyszyńskiego przedstawia potrzebę doświadczania, serdeczności, ciepła, czułości od najbliższych. Wyszyński podkreślał, iż niepełnosprawni mają takie samo prawo do szczęścia i życia niż wszyscy inni.

Przesłanie Stefana Wyszyńskiego do osób niepełnosprawnych zawsze miało i ma na celu wyjaśnienie istoty cierpienia oraz zachęcenie do życia w miłości, radości oraz pełni szczęścia. Trudności i ograniczenia, z którymi niepełnosprawni muszą się mierzyć, są często sensem i dopełnieniem miłości płynącej od nich i do nich. Szacunek, który płynie z przesłania prymasa Wyszyńskiego do osób niepełnosprawnych, jest godny podziwu i warty naśladowania. ■

ŻONGLERKA SŁOWNA NASZYCH CZASÓW

MARIAN MISZALSKI

Żonglerka słowna była zawsze ważnym elementem propagandy, jeśli przez propagandę rozumieć „kaptowanie zwolenników” w oderwaniu od prawdy, więc z intencjonalnym lekceważeniem werbowanych. Propaganda komunistyczna zawsze posługiwała się w tym celu dwiema metodami. Pierwsza – to obelgi (dzisiaj mówi się o „stygmatazowaniu”, więc „naznaczaniu”) wobec politycznych przeciwników, celem ich dyskredytacji („wróg klasowy”, „kułak”, „wyzyskiwacz”, „zapłuty karzeł reakcji”) – wedle słynnej dyrektywy propagandowej Lenina: „Po co dyskutować z towarzyszem Kautskim? Lepiej od razu nazwać go renegatem i zdrajcą”. Druga – to dodawanie przymiotników do słów o jednoznacznym sensie, aby zamulić prawdę w głowach indoktrynowanych, werbowanych tą propagandą („demokracja ludowa” lub „demokracja socjalistyczna”, „sprawiedliwość dziejowa”, „klasowa” lub „społeczna” czy wreszcie „społeczna gospodarka rynkowa” – które to sformułowanie przetrwały naszą ograniczoną transformację ustrojową wg. ustaleń „okrągłego stołu” i „planu Balcerowicza”, i obecnie są nawet w aktualnej polskiej Konstytucji z 1997 roku – „sprawiedliwość społeczna” w art.2, „społeczna gospodarka rynkowa” w art.20 – jako świadectwa swoistego, taktycznego politycznego kompromisu wówczas zawartego. Czy nie trwa on zbyt długo?...

We współczesnej odmianie marksizmu, w wersji Antoniego Gramsciego, wcielanej w życie przez rozmaite lewicowe nurty pod postacią „politycznej poprawności” (współczesne partie komunistyczne mają swych przedstawicieli nawet w Parlamencie Europejskim) propagandowa żonglerka słowami rozwija się dynamicznie: mamy więc i „płeć kulturową”, i „małżeństwa homoseksualne”, a pewne środowiska żydowskie wnoszą jako swój oryginalny wkład „spadkobranie bezdziedziczne”, wpisując w ten sposób własne interesy w neomarksistowską nowomowę.

Zauważyłem, że w aktualnym dyskursie publicznym dotychczasowe określenie „płaca sprawiedliwa” zastępowane jest coraz częściej określeniem „płaca godna”. To jasne, że pracownik byłby zadowolony, gdyby za swą pracę otrzymał jak większe wynagrodzenie, podczas gdy pracodawca byłby zadowolony, gdyby mógł płacić mniej... Nie jest w praktyce możliwe, aby

pracownik poznał i uwzględnił wszystkie argumenty pracodawcy, a pracodawca – wszystkie możliwe argumenty pracownika, aby z tego zestawienia wyprowadzić wspólnie „płacę sprawiedliwą”. Pracownik powie: „Mam dwoje dzieci, trzecie w drodze”. Pracodawca powie: „Muszę wymienić zużyte maszyny, to są koszty”. Poszukiwanie na tej drodze „płacy sprawiedliwej” to utopia. Dlatego racjonalnym i dającym się zweryfikować kryterium „płacy sprawiedliwej” jest dobrowolność zawarcia umowy o pracę. Jeśli – uwzględniając swą sytuację – dobrowolnie godzę się na określoną płacę i jeśli pracodawca także dobrowolnie się godzi – płaca jest sprawiedliwa. Byłoby niedobrze, gdyby decydować miała wyłącznie „sprawiedliwość pracownicza”, albo wyłącznie „sprawiedliwość pracodawcza”.

Tymczasem termin „płacy godnej” wprowadza w tę materię sporo chaosu. Wiąże on pieniądze, zapłatę za pracę, więc w konsekwencji poziom życia – z godnością człowieka. To bardzo niebezpieczne powiązanie. Niebezpieczne zarówno z powodu całkowicie nieuzasadnionego powiązania poziomu zamożności człowieka – z jego godnością, jak i ze względu na konsekwencje, jakie mogą stąd płynąć w warstwie polityczno-ideologicznej... „Biednych macie u siebie zawsze” – mówi Chrystus podczas „uczty w Betanii” (Ew. wg św. Jana). Byłoby bluźnierstwem interpretować te słowa jako odmówienie biednym godności! W otoczeniu Chrystusa więcej było ubogich, „małuczkich”, niż bogaczy... Wtedy – jak i dzisiaj – jeśli rozejrzeć się wokół nie trudno zauważyć, że godność człowieka nie idzie w parze z zamożnością, i że z zamożności nie da się wnioskować o godności, ani odwrotnie. „Przyrodzona godność człowieka” to jego natura, którą – jak wierzą chrześcijanie – obdarzył go sam Stwórca i która wyróżnia człowieka. Czy ta „przyrodzona godność” obejmuje także... poziom zamożności?... Nie tę przecież „godność” mamy na myśli mówiąc na przykład, że X to „człowiek uczciwy z godnością znoszący swój los”, a Y to „ladaco, który za pieniądze sprzedaje ojca i matkę”... Pojęcie „płacy godnej” wydaje mi się zanadto dwuznaczne i niebezpieczne w użyciu: jest nazbyt subiektywne i prowadzić może do jednostronnej interpretacji przez płomiennych ideologów „sprawiedliwości pracowniczej”, czy „sprawiedliwości społecznej”.

„Oddajcie cesarzowi co cesarskie, a Panu Bogu – co boskie”. Ale to nie cesarz ocenia, „co boskie” – to Pan Bóg ocenia, „co cesarskie”, nawet jeśli w buty cesarzy wchodzi demokracja. Tak przynajmniej wierzymy jako chrześcijanie.

W żonglerkę słowną wpisuje się chyba także termin „lewica liberalna”, oznaczający mniej więcej tyle, co „lewica wolnościowa”.

Liberalizm zrodził się, rozwijał i rozwija jako kierunek myślenia o polityce i gospodarce, który szuka takiej równowagi między jednostką a państwem, żeby anarchia jednostek nie rozsadziła państwa, ale żeby i państwo nie zniewoliło jednostki. Trudno więc zgodzić się z zarzutem, że liberalizm polityczno-gospodarczy absolutyzuje wolność jednostki. Wolność nadana przez Stwórcę człowiekowi – tak daleko posunięta, że człowiek może nawet odrzucić Stwórcę aktem swej woli, więc wolności... – świadczy, że i Stwórca przywiązywał do wolności człowieka pierwszorzędą wagę. Powiedzieć więc można, że liberalizm jest chrześcijański ze swego ducha. W jakim natomiast sensie „liberalna” jest współczesna lewica? Ani w sensie politycznym (totalizacja demokracji: przeobóstwienie, absolutyzacja procedury demokratycznej w ustalaniu prawdy, norm moralnych, definicji dobra i zła), ani gospodarczym (Keynesowska proinflacyjność, rozbudowa biurokracji więc źródła korupcji, wzrost opodatkowania), ani nawet – w sensie moralnym (gdyż od wolności odrywa odpowiedzialność – np. poprzez pro-aborcyjność, zniesienie kary śmierci za zabójstwa z premedytacją, albo surowsze traktowanie „dręczycieli zwierząt” od sprawców okrutnych gwałtów). Tzw. liberalna lewica współczesna wywodzi się od przedrewolucyjnych libertynów francuskich (nie- liberałów!), których uwaga skoncentrowana była na ...nieskrępowanej wolności seksualnej. Seksualność człowieka to element jego natury, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że współczesna lewica pod nazwą „liberalna” ukrywa tylko stary, rozpustny XVIII-wieczny libertynizm. Nic w niej z poważnej, liberalnej myśli politycznej czy gospodarczej...

Propaganda oparta na żonglerce słownej i podmianie sensu słów jest niebezpieczna: myślimy w słowach, przez słowa – do umysłów... ■

WIRUS MARKSIZMU PRZENIKNĄŁ DO POLSKI

MARCIN JANOWSKI

Marksieści zrozumieli, jak funkcjonują prymitywne popędy zakodowane w ludzkiej podświadomości, i stworzyli ideologię, która w ciągu kilku dekad zdewastowała system wartości ludzi Zachodu. Niestety ta ideologiczna zaraza dotarła również do naszego kraju.

Odwieczna reguła Bastiata

Żyjący w XIX wieku francuski myśliciel Fryderyk Bastiat (1801-50), analizując problemy relacji międzyludzkich, doszedł do wniosku, że ludzie, jeśli tylko mogą, chcą żyć i rozwijać się kosztem innych. Jego zdaniem, „to nieszczęsne pragnienie ma swój początek w samej naturze człowieka – w tym prymitywnym, powszechnym i nie dającym się powstrzymać instynkcie, który pobudza go do zaspokojenia swoich pragnień najmniejszym wysiłkiem”.

Bastiat wskazuje więc, iż powszechne wśród ludzi pożądanie cudzej własności, które skłania człowieka do kradzieży i wyzysku, ma swoje źródło w naturalnym mechanizmie chroniącym energię organizmu przed wyczerpaniem. Dzieje się tak dlatego, że z biologiczno-ekonomicznego punktu widzenia bardziej korzystne jest zagarnięcie zasobów zgromadzonych przez innych, niż tracenie własnej energii na pracę. Podobną dążność możemy zaobserwować u bardzo różnych stworzeń żyjących w całej przyrodzie.

Człowiek jest istotą cielesną i podobnie jak zwierzęta ma naturalne popędy, które skłaniają go do jedzenia, picia, snu i innych czynności umożliwiających przeżycie oraz dochowanie się potomstwa. Jednak ludzie, w odróżnieniu od zwierząt obdarzeni są świadomością i wolną wolą. Są również od najmłodszych lat wychowywani i uczeni postaw moralnych kształtujących ich człowieczeństwo.

Przez całe wieki fundamentem norm moralnych chrześcijańskiej Europy był Dekalog. Przestrzeganie Dziesięciu przykazań pozwalało Europejczykom opanować prymitywne popędy oraz powstrzymać się od ulegania naturalnym pożądlivościom. A przykazania: „Nie kradnij” i „Nie pożądaj rzeczy bliźniego swego”, stanowiły moralną zaporę wobec naturalnej żądzy

popychającej ludzi do zaboru cudzego dorobku.

Obalenie cywilizacji za pomocą biologicznych popędów

Po zakończeniu I wojny światowej Europę ogarnął chaos, a przez wiele krajów przetoczyły się socjalne rewolucje. Komuniści zwyciężyli w Rosji, jednak w zachodniej części Europy odnieśli klęskę. Marksistowscy myśliciele związani z tzw. Szkołą Frankfurcką postanowili odpowiedzieć na pytanie, dlaczego robotnicy z kapitalistycznego Zachodu nie poparli ruchu komunistycznego wzywającego do rewolucji przeciw klasie posiadaczy. W wyniku szerokich analiz marksieści doszli do wniosku, iż robotnicy z uprzemysłowionych państw Europy Zachodniej żyli we względnie dobrobycie i byli wychowywani w tradycyjnych wartościach. A taki proletariatus nie był zainteresowany uczestnictwem w krwawych rozruchach i przewrotach, lecz pragnął uzyskać awans społeczny w ramach istniejącego systemu za pomocą pracy własnych rąk i umysłu.

Lewicowi myśliciele z Frankfurtu doszli do przekonania, iż droga do zwycięstwa rewolucji prowadzi przez inżynierię społeczną, która zmieni świadomość Europejczyków w taki sposób, że sami odrzucą tradycyjne wartości chrześcijańskie i przyjmą postulaty rewolucjonistów.

Szczególne miejsce w projekcie wychowania „nowego człowieka” stanowił dorobek psychoanalizy Zygmunta Freuda. „Frankfurtczycy” dogłębnie analizowali popędy i instynkty drzące w czeluściach ludzkiej podświadomości, aby za ich pomocą manipulować ludzkimi postawami i zrujnować tradycyjny kregosłup moralny mieszkańców Europy.

Instytucjonalna kradzież rozgrzesza złodzieja

Krzysztof Karoń, autor książki „Historia antykultury”, zwraca uwagę, iż marksistowskie badacze społeczni w szczególności sposób podeszli do prymitywnych popędów kierujących człowieka ku lenistwu, kradzieży i pasożytniczemu życiu kosztem innych. Jego zdaniem, lewicowi inżynierowie społeczni zdawali sobie sprawę, iż

hasła nawołujące lud do kradzieży bezpośrednio (bolszewickie: „Grabić to, co zostało zagrabione”) nie znajdują posłuchu, ponieważ ludzie tradycyjnie wychowani będą czuć opory moralne przed osobistym rabowaniem bliźnich, a ponadto okradani mogą się bronić i podjąć walkę z agresorami. Dużo łatwiejsze okazało się stworzenie systemu społeczno-politycznego, który będzie prowadził kradzież anonimową, a ludzie biorący udział w okradaniu innych nie będą świadomi, że kradną.

Lewica zaczęła odwoływać się do negatywnych skłonności ludzkich (takich jak: lenistwo, chciwość i egoizm), propagując postulaty socjalistycznej redystrybucji dóbr za pomocą państwa. Owe postulaty zakładały, iż państwo powinno dostarczać obywatelom, zupełnie za nic, dobra wypracowywane przez innych!

Hasła, wzywające do wprowadzenia systemu zapewniającego obywatelom dostatnie życie bez konieczności pracy, trafiły na podatny grunt. Pod wpływem powszechnych roszczeń i mody na „państwową opiekuńczość” politycy zmienili dotychczasowe rozwiązania prawne, a instytucje publiczne zaczęły fundować obywatelom kolejne świadczenia i „darmowe” usługi. Oczywiście państwo nie posiada własnych pieniędzy, a budżet wypełnia środkami pochodzącymi z podatków, procederu inflacji i zapożyczenia przyszłych pokoleń, dlatego wraz z „państwową opiekuńczością” zaczął rosnać ucisk fiskalny. A instytucje publiczne rekwirowały coraz więcej prywatnego dorobku jednych obywateli, aby rozdawać go drugim.

W ten sposób zbudowano system upaństwowionej kradzieży, gdzie różne grupy społeczne rywalizują o to, kto będzie kogo okradał w nadchodzącej kadencji. Politycy przyznają różne „darmowe” prezenty swoim wyborcom na koszt sympatyków innych partii. A kampanie wyborcze stały się seansami nienawiści, w których politycy obiecują, że jeśli dojdą do władzy, to będą krzywdzić wysokimi podatkami elektorat innych grupowań. Niestety masy ludzkie nawet nie dostrzegają, iż biorą udział w systemie powszechnej kradzieży, gdzie wszyscy się wzajemnie okradają i dążą do tego, by zapewnić sobie „godne życie” na koszt innych.

Krzysztof Karoń zauważa, iż jest to projekt iście szatański, ponieważ państwo zwalnia w nim obywateli z osobistego uczestnictwa w okradaniu bliźnich, więc ludzie nie odczuwają, iż biorą udział w kradzieży. To właśnie dlatego niegodziwy system okradania innych za pomocą instytucji państwowych cieszy się powszechną akceptacją, a ludzie nie odczuwają wyrzutów sumienia, mimo że żyją z ukradzionych dóbr.

Na domiar złego różnym formom instytucjonalnej kradzieży dorabia się uzasadnienie moralne i nadaje znamiona dobroczynności! Rabowanie przez państwo jednych obywateli, aby rozdawać zagarnięte zasoby innym, określa się „sprawiedliwością społeczną”. Natomiast konsumowanie owoców pracy, które przemocą państwa odebrano bliźnim, nazwano „godnym życiem”. W wyniku socjalistycznej agitacji w niegdyś chrześcijańskiej Europie zapanowała moralna destrukcja, a ludzie wyszarpują sobie wzajemnie ukradzione dobra, przypominając stado drapieżników walczących między sobą o upolowaną gazelę.

Marksiści zrozumieli, jak funkcjonują prymitywne popędy zakodowane w biologicznej naturze człowieka i na tej podstawie stworzyli ideologię, która w kilka dekad wywróciła trwający 2 tysiące lat porządek. Niestety kręgi chrześcijańskie dotąd nie potrafią stworzyć skutecznej strategii, która obnaży barbarzyńskie mechanizmy antykultury i wyjaśni ludziom, w jaki sposób zostali zmanipulowani. A czasu jest coraz mniej, bo rozkład tkanki społecznej nabiera tempa.

Prawo do lenistwa i życia cudzym kosztem

Szczególnie niszczycielską rolę w procesie rozkładu moralnego Europy pełni państwowa polityka socjalna. Pokazuje ona milionom ludzi, iż mogą czerpać swój dobrobyt z pracy innych! „Państwo opiekuńcze”, poprzez wypłacanie wysokich zasiłków, masowo demoralizuje ludzi, którzy dochodzą do wniosku, że „nie opłaca się pracować”, skoro można otrzymać pomoc socjalną w wysokości niewiele niższej od wypłaty za pracę na pełnym etacie – dotyczy to głównie ludzi o niskim wykształceniu i niewielkich kwalifikacjach zawodowych.

O destrukcyjnym działaniu socjalistycznej „sprawiedliwości społecznej” świadczą statystyki z krajów, które od pokoleń realizują postulaty „państwa opiekuńczego”. W Wielkiej Brytanii niemal 5 milionów obywateli (z populacji liczącej 60 milionów) utrzymu-

je się tylko z zasiłków. Wielkim szokiem dla Brytyjczyków był raport opublikowany 11 lat temu przez Brytyjską Komisję Finansów Publicznych. Wynikało z niego, że aż dla 6 milionów obywateli brytyjskich zasiłki stały się „sposobem na życie”. Czterech na pięciu bezrobotnych zupełnie nie starało się znaleźć pracy, a 60% żyło z zasiłków przez dłużej niż 5 lat. Oczywiście na rynku pracy nie ma próżni, bo wakaty zajmują miliony imigrantów zarobkowych, którzy w pocie czoła pracują i płacą podatki na miejscowych miłośników życia z socjalnych benefitów.

Marksiowska zaraza, która wmawia ludziom, iż mają moralne prawo żyć kosztem bliźnich, zapuszcza korzenie również nad Wisłą i zdobywa poparcie milionów Polaków. Rosną postawy roszczeniowe i oczekiwanie, że państwo ma obowiązek zapewnić obywatelowi „godne życie” fundowane z rozdawnictwa publicznych pieniędzy.

A skąd biorą się pieniądze na tę całą „darmochę” rozdawaną „hojną ręką” przez polityków? Czy owi politycy, jak na chrześcijan przystało, obdarowują bliźnich własnym dorobkiem? Otóż nie. Oni pomagają drugiemu człowiekowi za pieniądze trzeciego. Oczywiście nikt nie pyta tego trzeciego człowieka, czy godzi się pracować na innych. Państwową przemocą okrada się go z owoców jego pracy i za te zrabowane dobra, polityczni macherzy kupują sobie poparcie w wyborach, pragnąc uchodzić za wielkich dobrodziejów.

Niestety liczni politycy, kierowani żądzą zdobycia władzy, wzorem zachodnich neomarksistów odwołują się do najniższych popędów ludu i obiecują mu darmowe rozdawnictwo dóbr wypracowywanych przez innych. Powróciły już nawet hasła z czasów PRL, że „500 złotych się należy, czy się stoi, czy się leży”. A w ludzie rośnie zuchwałość żądza dostatniego życia... na które będą pracować inni.

Prezydent miasta Nowa Sól opisał przed dwoma laty w mediach społecznościowych następującą historię: *Przyszła właśnie do mnie mieszkanka miasta z żądaniem remontu mieszkania komunalnego (wymiana dwóch pieców i wszystkich okien). Okazało się, że zaległości w opłatach sięgają już 5000 zł, przy ok. 200 zł czynszu miesięcznego (po odjęciu dodatku mieszkaniowego wypłacanego przez miasto) za 70 m2 mieszkania, gdzie mieszka 9 osób, w tym 4 osoby dorosłe, z których żadna nie pracuje. Pani nie pracuje i ma trójkę dzieci. Dostaje 1500 zł z programu 500+ i inne zasiłki socjalne.*

Na pytanie, co z pozostałymi dorosłymi osobami, usłyszałem, że mama (57 lat) jest chora. To spytałem: skoro chora, to dostaje zapewne rentę? Pani wyjaśniła, że jej matka nie dostaje renty, gdyż nigdy w życiu nie pracowała, a jeśli już, to na czarno. Córka żyje jak mama. (...) I co mam zrobić, wyremontować mieszkanie tej pani za publiczne pieniądze innych ludzi, którzy na swój chleb zarabiają ciężką pracą?

Czy nastąpi otrzeźwienie?

Marksiowska demagogia, która spustoszyła moralnie Europę, nie omija Polski. Istniejący nad Wisłą system polityczny również zalegalizował szereg form kradzieży, które w zuchwały sposób łamią przykazania: „Nie kradnij” i „Nie pożądaj rzeczy bliźniego”.

Polityczny system wzajemnej kradzieży pustoszy życie społeczne, wprowadzając nową marksiowską „wojnę klas”. Nie ma już miejsca na dobro wspólne. Toczy się wojna wszystkich ze wszystkimi. Trwa wzajemne wyrwanie sobie budżetowych ochłapów. Polityka przestała być „roztropnym dbaniem o dobro wspólne” i na naszych oczach przetrada się w „publiczną licytację dóbr pochodzących z kradzieży”.

Państwowe programy socjalnego rozdawnictwa rujną moralne społeczeństwa, utrwalają postawę bezradności i rozleniwiają. Ludzie są uczeni, iż mają moralne prawo pożądać rzeczy należących do bliźnich, czyli oczekiwać, że polityk będzie im rozdawał dobra rabowane innym ludziom.

Dlatego w naszym kraju potrzebna jest głęboka i uczciwa debata na temat destrukcyjnych skutków nowoczesnego marksizmu, który odwołuje się do najniższych popędów, wyzwala prymitywne żądze i w gwałtownym tempie rozkłada moralnie cywilizację.

Potrzebujemy również debaty na temat kradzieży dokonywanej za pośrednictwem instytucji państwowych, ponieważ pozwala ona ludziom okradać bliźnich i pozbywać się przy tym wyrzutów sumienia, jakie odczuwają przy kradzieży bezpośredniej.

Socjalizmu nie da się pogodzić z duchem chrześcijańskim. Ponieważ jest to system wywodzący się z filozoficznego materializmu, który odwołuje się do niskich pobudek ludzkich i tworzy moralne uzasadnienia dla okradania bliźnich. Warto w tym miejscu przypomnieć słowa poety Zbigniewa Herberta, który ostrzegał, iż nie ma możliwości stworzenia „socjalizmu z ludzką twarzą”, ponieważ socjalizm jest potworem i ma oblicze potwora. ■

EPIDEMIA SOCJALIZMU

ANDRZEJ STANISŁAWSKI

Kiedy za pierwszej komuny partyjni agitatorzy próbowali zachęcać katolików do socjalizmu, przekonywali ich, że „pierwszym socjalistą” był Pan Jezus. Podobnie jak w przypadku innych argumentów używanych przez agitatorów, ten też nie był prawdziwy. Pan Jezus żadnym socjalistą nie był, bo, nie przypominam sobie, by kiedykolwiek zachwalał wyższość własności publicznej nad prywatną, biurokrację, czy wysokie podatki. Przeciwnie – wiele ewangelicznych opisów świadczy raczej o tym, że Jezus nim nie był. Na przykład przypowieść o robotnikach w winnicy, niezależnie od jej religijnego aspektu, jest pochwałą zasady wolności umów i zasady „volenti non fit iniuria” („przyjacielu, czy nie umówiłeś się ze mną na denara?”). Za pomocą pierwszego cudu w Kanie Galilejskiej pokazał, że dla przemiany wody w wino konieczna jest ludzka praca, bo chociaż mógł od razu napełnić winem puste stągwie, to jednak najpierw kazał sługom napełnić je wodą. Dlaczego? Myślę, że gwoli pouczenia, żeby nie liczyć, że cuda zastąpią własny wysiłek. A taka wiara stanowi przeciwieństwo najważniejszą przynętę socjalizmu – że można będzie żyć na cudzy koszt.

Nastała transformacja ustrojowa i wydawało się, że socjalizm ostatecznie trafił do lamusa historii między inne ideowe rupiecie – ale gdzie tam! Kiedy w drugiej połowie lat 90. na spotkaniu z klerykami w jednym z seminariów duchownych powiedziałem, że państwo nie powinno prowadzić działalności charytatywnej, jeden z uczestników, najwyraźniej zirytowany do żywego, przerwał mi, mówiąc, iż „gdyby nie było przymusu, to nikt nie chciałby biednym pomagać” – za co od reszty uczestników dostał huczną owację. Zabierając w odpowiedzi głos, zwróciłem uwagę, że ów ksiądz, co prawda innymi słowami, wyraził pogląd, iż Ewangelia Chrystusowa nie nadaje się do zastosowania w życiu. Być może to tak wygląda – powiedziałem, ale wydaje mi się, że nie wypada tak myśleć i być księdzem katolickim. Zapadła cisza – dopiero potem rozpoczęła się prawdziwa, poważna dyskusja.

Kiedy w latach 70. byłem we Francji pewien komunista na pytanie, na czym teraz skupia się tamtejsza Partia Komu-

nistyczna, odparł, że na pracy ideowej w szkołach podstawowych. Myślałem, że go źle zrozumiałem, ale okazało się, iż nie. Przekonałem się wtedy, że komuniści nastawili się na głęboką orkę pod przyszłe plony; że zrozumieli, iż droga na skróty, to znaczy – gwałtowna zmiana stosunków własnościowych i terror – na dłuższą metę nie są efektywne, że trzeba wykonać „długi marsz przez instytucje”, że szczególnym uwzględnieniem instytucji edukacyjnych, tzn. – szkół i uniwersytetów. Ponieważ istnieje obowiązek szkolny, żadne dziecko nie zostanie pominięte w socjalistycznej indoktrynacji, którą przez lata będzie nasiąkało „bez swojej wiedzy i zgody”, aż wreszcie ideologia socjalistyczna zejdzie mu do poziomu instynktów. Będzie socjalistą nieświadomym, który myśli, że to wszystko naprawdę i nie przyjdzie mu nawet do głowy, iż jego sposób myślenia jest zaprogramowany przez pierwszorzędnych fachowców.

Oto w katolickiej nauce społecznej czytamy o zasadzie powszechnego przeznaczenia dóbr – że Pan Bóg stworzył ziemię i jej zasoby nie dla niektórych, ale dla wszystkich. To prawda, ale można tę zasadę rozumieć na dwa sposoby: socjalistyczny i wolnościowy. Socjaliści uważają, że skoro tak, to wszyscy mają roszczenie o uczestnictwo w podziale tych dóbr, że one im się należą bez względu na to, co robią. Wyrazem upowszechniania się tego sposobu myślenia jest tzw. minimalny dochód gwarantowany – państwo musi zapewnić każdemu taki dochód, nawet jak ktoś w najmniejszym stopniu nie przyczynia się do jego wytworzenia. W większości państw Europy ten pogląd dominuje. Wyjątek stanowi Szwajcaria, której obywatele odrzucili ten pomysł w referendum. Jak wspominałem – tę zasadę można rozumieć również na sposób wolnościowy. Realizuje się ona wtedy, gdy właściciel dóbr inwestuje. Udziela on wówczas ze swojego majątku innym pewnego rodzaju daru, oddając do ich dyspozycji dobra, których albo przedtem nie było, albo nie było ich w tym miejscu. Na przykład buduje fabrykę wihajstrów albo zakłada we wsi sklep, którego przedtem nie było. Jeśli trafnie odgadł potrzeby innych ludzi, tzn. – jeśli realizuje zasadę powszechnego przeznaczenia dóbr, to zostanie wyn-

grodzony zyskiem, a jeśli nie – to straci to, co zainwestował. Socjaliści uważają, że skoro osiągnął zysk, to powinien się nim podzielić ze wszystkimi. Wydaje się to niemoralne, bo przecież tylko on zaryzykował swoim majątkiem, a wszyscy pozostali z nim tego ryzyka nie dzielili, więc na jakiej zasadzie mieliby do niego kierować swoje roszczenia? Niestety, wieloletnia, obejmująca już co najmniej trzy pokolenia edukacja sprawia, że większość współczesnych ludzi skłania się ku rozumieniu zasady powszechnego przeznaczenia dóbr na sposób socjalistyczny i popiera polityków uchwalających takie prawa.

Duchowieństwo wcale nie jest na to immunizowane, a jeśli nawet – to w stopniu znacznie mniejszym niż kiedyś. Jeszcze pół biedy, jeśli taki ksiądz coś buduje. Ma wtedy większe poczucie rzeczywistości od tego, któremu się wydaje, że pieniądze mnożą się na tacy. Podobnie jest z hierarchiami. Kiedyś biskupi byli uposażeni w beneficja, którymi musieli zarządzać, zatem byli przedsiębiorcami, często nawet na dużą skalę. Z tego tytułu znajomość zagadnień gospodarczych była wśród nich znacznie wyższa niż obecnie, dzięki czemu wirus socjalizmu nie miał do nich dostępu. Na tym tle lepiej rozumiemy postulat postępowstwa, którym marzy się „Kościoł ubogi” – co widzimy zarówno na przykładzie reformacji, rewolucji francuskiej, rewolucji bolszewickiej, jak i obecnych tendencji ekspropriacyjnych. Ubogiego znacznie łatwiej skłonić do postawy roszczeniowej, bo ubóstwo wcale nie chroni człowieka przed grzechem zazdrości. Przeciwnie – stanowi dodatkową pokusę. Dlatego rewolucjoniści muszą mieć proletariata, który by „wyzwalali”, czyniąc z niego tzw. nawóz historii. Dawniej byli to pracownicy najemni, ale ci proletariusze byli dla rewolucjonistów sojusznikami nie szczerymi. Taki bowiem proletariusz marzył o tym, by przestać nim być, a kiedy mu się to udało, stawał się „drobnomieszczaninem” i zawziętym wrogiem socjalizmu oraz socjalistów, których słuszenie podejrzewał, że chcą mu to wszystko odebrać. Dlatego też obecnie socjaliści posługują się proletariatem zastępczym, w postaci feministek, zboczeńców i innych takich – ale to już inna historia. ■